Cena 18 fen. — 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Szl., 1-go Lutego 1896. **Nr. 3.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek.

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Upłynęło tak może pół godziny, gdy wtem dało się słyszeć lekkie stukanie do drzwi, które się otworzyły niebawem i w progu stanęła przepyszna postać młodego panicza, w całym blasku przyrodzonej piękności i wspaniałego stroju. Pan Marek wszedłszy, obrzucił spojrzeniem komnatę, a widząc w drugim jej końcu, w przyćmionem świetle jakąś kobietę, skłonił się jej najpierw grzecznie, a następnie posunął się do Gabryela, ku któremu zbliżyła się równocześnie blada ale spokojna pani Adamowa. Nagle pan Marek spojrzał na jej twarz i poznał od razu Ludmiłę; lecz oczom nie wierząc, przymknął je i znowu szybko otworzył, ręką dotknął czoła, na które wystąpiły krople potu, ognie uderzyły mu na twarz, która następnie pobladła, a z gardła wydobył się chrapliwy głos:

— Lu... Lud... Ludka!... Waćpanna... tu?...

— Tak jest. Przy moim chorym bracie — odparła Ludmiła przyciszonym głosem.

— Przy... twoim... bracie?... Żali to sen... czy... jawa?...

— Nie sen to, zacny panie, ale tak jest, jako wasza miłość widzisz — ozwał się teraz poważnie Gabryel, a wskazawszy krzesło panu Markowi, którego szeroko otwarte oczy stanęły w Ludce, mówił dalej: — Masz tu, wasza miłość, przed sobą istotnie moją siostrę, a wychowankę przezacnej siostry waszmość pana, ś. p. pani Gorajskiej, której niech Bóg wieczną chwałę nagrodzi to, co uczyniła dla biednej sieroty! Wiesz wasza miłość, że Ludmiła była sierotą, nieświadomą swego pochodzenia, ale Pan Bóg sprawił, iż znalazła brata i dom rodzinny.

Pan Siekierzyński czuł, że ciężar, jakby młyński kamień, który leżał mu na piersiach, od dnia ucieczki Ludmiły, spadł teraz nagle. Młody panicz odetchnął głęboko, rumieńce wróciły mu na twarz, oczy pojaśniały, w głosie zaś czuć było zdziwienie, ale pewną radość, gdy pytał:

— Więc to już wtedy... opuszczając Siekierzany wiedziałaś waćpanna, że masz brata? Ale dla czego to ukrywałaś przedemną?

— Nie byłabym ja ukrywała waćpanu — odparła Ludka — alem w Siekierzanach nic jeszcze nie wiedziała o mej rodzinie. Dopiero w drodze spotkałam brata, który już po mnie jechał, a spotkawszy szczęśliwie i poznawszy, zawiózł do swego domu.

— I przez cały ten czas, byłaś waćpanna w domu brata?

— Tak jest.

— A jakże to dowiedział się o tobie? — zawołał pan Marek, ale nagle oblicze jego pociemniało tak, jakby je czarna chmura przykryła, przypomniał sobie bowiem teraz to, co mu opowiadał mały Iwaś w leśniczówce i dusza młodzieńca zatrzęsła się z oburzenia, a myśli jak błyskawice przelatywały przez jego głowę: — więc ona mieszkając u tego przezacnego brata, którego sławą rozbrzmiewa kraj cały, zamilczała o swoim stosunku z rotmistrzem? A musiała zamilczeć, bo inaczej Gabryel byłby zażądał od Adama krwawego zadosyćuczynienia za porzucenie siostry! Oni tymczasem są w jakiejś wielkiej przyjaźni, jak to mówią w całym obozie, a nawet ten bohaterski młodzieniec ranę otrzymał, ratując właśnie z narażeniem życia rotmistrza! Dla Boga! Cóż to jest? Czy to ona, niegodna, umiała zwieść brata i natchnąć przyjaźnią dla tego łotra, który oszukuje ojca, zdradza narzeczoną? O! niegodziwa! Wiedziała dobrze, że Adam ma tak, jakby prawie narzeczoną, bo choć się młodzi nie zaręczyli, ale ojcowie ułożyli dawno ich małżeństwo, wiedziała dobrze od panny Anny, a przecie... a teraz wie, że ten zwodziciel ma niebawem poślubić tę biedną, oszukiwaną kobietę, a on milczy! Może się nawet nie sprzeciwia temu! O zgroza! I nie wstydzi się patrzeć w oczy temu swojemu szlachetnemu bratu? I oszukuje go porówno z rotmistrzem, który udaje przed wszystkimi zacnego kawalera! To okropnie!

Gdy takie myśli, jak pioruny huczały w mózgu pana Marka, on przeszywał Ludkę strasznym wzrokiem, w którym pani Adamowa wyraźnie czytała: gniew, niewypowiedzianą pogardę i żal bezbrzeżny; rumieńce więc wytrysły na jej śliczną twarzyczkę, ale podniosła dumnie głowę i odwróciła oczy.

Hołubek zaś odetchnąwszy z głębi piersi ozwał się znowu:

— Pytasz się waszmość pan, jak się dowiedziałem o siostrze, o której tyle lat nie słyszałem? Pan Bóg to w dziwny sposób pokierował wszystkiem... Ale nim to opowiem pragnę wpierw podziękować waszej miłości, za ten chleb, który siostra moja przez tyle czasów jadła z łaski waszej. Gdybyście nie byli przytulili, chowając ją jakoby własne dziecko, Bóg wie, czy w innych rękach nie byłaby się zmarnowała na duszy i ciele!... Nigdy my nie zdołamy wypłacić się wam za takie dobrodziejstwo... ale wdzięczność głęboką zachowamy w sercu do grobu, tak siostra moja jako i ja dla ś. p. pani Elżbiety Gorajskiej i dla waszej miłości...

Pan Marek skinął ręką z pańską niedbałością, lecz rzekł z pewną goryczą:

— Daj-że pokój, panie Gabryelu! Siostra moja to wychowała pannę Ludmiłę, ale mnie ona nic nie winna... nie potrzebuje przeto silić się na wdzięczność, bo jej nie wyglądam. Że waszmość masz duszę szlachetną i z poczciwego serca dziękujesz, to wierzę, ale przecie i waćpan nie masz za co mi być wdzięcznym, bo jako rzekłem, nie ja chowałem pannę Ludmiłę.

Wielka przykrość odmalowała się na twarzy chorego.

— Trudno uwierzyć, waszmość panu, we wdzięczność mej siostry! — zawołał z żalem. — I nie dziwuję się temu!... Ale wasza mość nie wiesz dotąd, że odmawiając ci ręki, nie uczyniła tego ze zatwardziałości serca i niewdzięczności, jeno, że związana Sakramentem i tajemnicą, nie mogła inaczej uczynić!...

— Co? Co waćpan mówisz?... Czy ja dobrze słyszałem? — zawołał młody panicz, zrywając się z krzesła. — Ludka

związana Sakramentem? Z kim?... Kiedy?... Gdzie?...

— Tak, przezacny panie! Ludmiła nie jest bez winy, bo zataiła przed swą przybraną matką skłonność serca, ale niewdzięczną nie jest!... Nic ona nie wiedziała, że ś. p. pani Gorajska ułożyła dla niej tak zaszczytne małżeństwo z waszmość panem. Gdy zaś wyrosłszy z dzieciństwa, zobaczyła po raz pierwszy waszą miłość i gdy się dowiedziała, że z woli swej zacnej opiekunki ma poślubić waszmość pana, już ona nieboga od kilku miesięcy była żoną innego.

Pan Siekierzyński słuchał zdumiony, spoglądając kolejno na Gabryela i Ludkę, a choć twarz miała bladą bardzo, przecie zniknął z niej wyraz pogardy i gniewu. Ludmiła była stracona dla niego bezpowrotnie, nie godziło mu się już jej kochać, bo była małżonką drugiego, ale mógł ją szanować; była wprawdzie winną, lecz nie tak jak myślał; nie uczyniła nic, co kobietę poniża i honor jej odbiera. Przeciągnął więc ręką po czole i rzekł:

— Teraz rozumiem!... Waćpanna... chciałem powiedzieć... waćpani poślubiłaś pana Adama Wisłockiego i jako z mężem widywałaś się z nim w leśniczówce?

Ogniste rumieńce oblały twarz Ludki, cofnęła się w tył i szepnęła zdumiona:

— Jakto?... Więc waćpan wiesz?

— Tak jest, wiem! I daruj-że mi waćpani, bom cię skrzywdził w myśli...

— Jak waszmość pan mógłeś myśleć o mnie coś złego? — zawołała pani Adamowa, a oczy jej zamigotały oburzeniem; lecz wnet popłynęły z nich łzy gorzkie, a Ludmiła rzekła z łkaniem:

— Słuszna kara za moją winę! Nie powinnam była nic ukrywać przed moją opiekunką, matką prawdziwą, która mię tak kochała! O, jakże każde złe mści się już samo strasznie na tym, który je popełnił!... Ileż ja już łez wylałam nad moim błędem!... A i ileż jeszcze wyleję?...

Szczere współczucie odbiło się na pięknem obliczu pana Marka, wyciągnął rękę do Ludki i rzekł serdecznie.

— Daruj-że mi już, waćpani, moją przewinę jako i ja przebaczam ci tę mękę, w której tyle miesięcy żyłem... Podaj mi rękę, proszę, i odpuść z serca, jak ja ci już odpuściłem!

Pani Adamowa podała swą drobną rączkę, a pan Siekierzyński z uszanowaniem do ust ją przycisnął. Westchnął sobie jednak cicho a po chwili spytał:

— Ale czemuż to nie powiedziałaś mi, waćpani, w Siekierzanach, jako jesteś już zamężną? Inaczej poszłoby to wszystko!

— Mąż wymagał tajemnicy... nie wiedziałam żali godzi mi się mówić o niej bez jego wiedzy — odparła Ludmiła z pewnem wahaniem. — A potem, obawiałam się, ...żebyś się waćpan nie mścił na Adamie...

— Jakże! Jeźli prawym był twoim małżonkiem... Nigdy nie byłbym mu zła uczynił, skoro i on szanował cię i kochał...

— Wierzę! — rzekła Ludka wzruszona. — Ale taka byłam wtedy przerażona i dziecinna przyznaję...

— A ja uniosłem się, co na opiekuna wcale nie przystało — szepnął pan Marek i jakby do siebie samego, dodał półgłosem:

— Dzięki Bogu! że przecie choć tak się skończyło... — następnie zwróciwszy się do Gabryela, wziął obie jego ręce, a ściskając je, serdecznie rzekł:

— Opowiedz-że mi teraz, panie pułkowniku, jakeś to siostrę poznał i znalazł.

Hołubek jął opowiadać o spotkaniu się swojem z Adamem w lesie, o zapoznaniu się, tajeniu przez rotmistrza swego małżeństwa przed ojcem, o wyruszeniu po Ludkę i t. d., w końcu dodał, że dziś właśnie zamierza pan Adam wyjawić ojcu swoją przewinę i prosić o przebaczenie. Pan Siekierzyński słuchał ciekawie, Ludmiła stanęła opodal, przy oknie, błądząc oczyma po rozległym krajobrazie, myślała o dziwnych kolejach swego życia.

Wtem ktoś lekko zapukał, drzwi się otwarły cicho, i jako promyk majowego słońca, wsunęła się do komnaty Bożena; Hołubek spojrzał na nią uważnie, ona

zaś ujrzawszy pana Marka, zarumieniła się ślicznie, a wyraz twarzy, uśmiech i wzrok mówiły głośno o jej wielkiej miłości dla pięknego panicza. Ludmiła mówiła prawdę, twierdząc z taką pewnością, że panna Wisłocka kocha pana Marka, Gabryel był teraz także pewny tego.

Bożena tymczasem zbliżywszy się do chorego, powitała go serdecznie i tkliwie, jakby siostra rodzona; każde słowo jej mówiło o głębokiem współczuciu i żalu; wypytywała się troskliwie, jak się czuje, a gdy młody bohater zapewniał, że mu bardzo dobrze w tej chwili, rzekła:

— To dzięki Bogu! Cieszę się z tego bardzo, bośmy oboje z Adamem okrutnie się kłopotali, żeby aby wzruszenie nie zaszkodziło waćpanu. Rodzic mój i brat zaraz tu będą; szli już, ale ich pan hetman wstrzymał w drodze.

Pani Adamowa usłyszawszy, że zbliża się stanowcza chwila, zachwiała się na nogach i pobladła tak bardzo, iż zdawało się, że zemdleje. Widząc to Bożena, podbiegła do bratowej, objęła ją ramieniem i zaczęła szeptać do ucha słowa nadziei i otuchy. Pan Siekierzyński zaś ścisnąwszy dłoń Gabryela, chciał odchodzić: ale ten przytrzymał go za rękę i rzekł cicho, aby tylko piękny młodzieniec mógł słyszeć:

— Najzacniejszy panie Marku! Wszakże nie masz żalu do mej siostry, że mimo woli i chęci taką ci przykrość sprawiła? Bóg ci nagrodzi i hojnie zapłaci za to, iż sierotę do swego domu przyjąłeś. Modlić się będziemy oboje z Ludką o szczęście dla ciebie i pewno nas Bóg wysłucha.

— Bóg zapłać! kochany pułkowniku — odparł wzruszony panicz. — Wiem że mi dobra życzysz, bo masz serce szlachetne, a więc i wdzięczne... aleć niestety! nie dla mnie szczęście!... Jak tu choćby marzyć o niem, gdy ta, którą kochałem, jest żoną innego?...

— Przestań o niej myśleć, wasza miłość! niechże ci wspomnienie sieroty i twego dobrodziejstwa nie zatruwa życia. Gdzieindziej zgotował dla cię Pan Bóg szczęście, zacny panie Marku!... Ach! gdybyś ty tylko patrzeć umiał... gdybyś widział i chciał... mógłbyś być tak szczęśliwy, tak bardzo szczęśliwy... jak tylko człowiek może być na tym świecie!...

Pan Siekierzyński ze zdziwieniem patrzał na Gabryela. a wreszcie szepnął.

— O kim, czy o czem waćpan mówisz?

Hołubek zwrócił oczy ku oknu, przy którem stała Ludka z Bożeną; pan Marek poszedł za wzrokiem chorego, spojrzał na dwie śliczne kobiety, podobne do dwóch cudnych kwiatów, i w tej chwili po raz pierwszy spostrzegł, jak cudnie piękną jest panna Wisłocka. Ludmiła była rzadkiej urody, ale Bożena, mianowicie teraz, z wyrazem serdecznego współczucia w głębokich, a jaśniejących jak gwiazdy oczach, z uśmiechem pełnym słodyczy na purpurowych ustach, wyglądała na jakąś nadziemską istotę; a przy odmiennego rodzaju urodzie pani Adamowej, jeszcze się śliczniejszą wydała. Młodemu, świetnemu paniczowi zdawało się, że dopiero pierwszy raz widzi Bożenę; więc po chwili szepnął ze zdumieniem:

— W istocie!... Zachwycająca!... Ale... ale zkąd waszmość przypuszczasz?...

— Dość spojrzeć uważnie. Lecz mam i inne niezawodne dowody. Nigdy kłamstwo nie postało na mych ustach i w tej uroczystej chwili jaka dla mnie nadchodzi, nie kłamię. Byleś tylko chciał, panie Marku! byleś chciał...

Nim pan Siekierzyński zdołał odpowiedzieć, drzwi się otwarły i pan Wojciech ze synem, oraz i kanclerz weszli do komnaty. Stary rycerz zbliżył się szybko do Gabryela i biorąc jego obydwie ręce w swoje dłonie, rzekł głosem pełnym serdecznego współczucia:

— Zacny panie pułkowniku, srodze mnie zmartwiło twoje nieszczęście i Bóg widzi, że wszystkom uczynić gotów, aby okazać cześć najznakomitszemu bohaterowi i wdzięczność wybawcy mej córki. Wspomniał mi też jaśnie wielmożny pan hetman, że masz waszmość jakąś prośbę do mnie... Otóż daję ci słowo, że jeśli

tylko będzie w mej mocy, wszystko dla ciebie uczynię z radością. Mów przeto, kochany panie Gabryelu, czego życzysz sobie odemnie?

— Błagam o odpuszczenie przewiny dwom winowajcom... którzy bardzo zawinili przeciw waszej miłości... Wszelako wina owa nie pochodzi ze złości; jeno z nierozwagi i krewkości młodzieńczej...

— Wszystko im odpuszczam, ktokolwiek są i co uczynili!... choćby też na życie moje godzili nawet... bo nie ma takiej rzeczy, panie pułkowniku,



Powrót niedobitków armii rosyjskiej w roku 1813. (Obacz objaśnienia rycin na str. 48.)

którejbym dla ciebie nie uczynił. Gdyby nie twoja odwaga, zacny młodzieńcze, nie miałbym dziś córki.

— Dzięki ci, szlachetny panie! — zawołał Gabryel. — Oto winowajcy. Przebacz-że im i do serca przytul.

To mówiąc, wskazał Ludkę i Adama, który chwyciwszy żonę za rękę, padł razem z nią na kolana przed ojcem, wołając przejmującem głosem:

— Ojcze najdroższy, oto siostra Gabryela, a moja małżonka!... Daruj, że bez twej wiedzy ślub zawarliśmy.

Pan Wojciech zbladł strasznie, zachwiał się, cofnął, a z ust jego wydobyły się chrapliwe słowa:

— Co mówisz Adamie?!... Tyżeś to uczynił?!... Bez wiedzy i błogosławieństwa rodzica zawarłeś śluby? Wiedząc, że ja... A!... Synu!...

— Ojcze!... Ojcze!... — jęczał Adam, całując stopy rodzica.

— Przebacz!... Daruj!... Nie odpychaj mię! Ja się tu od nóg twoich nie ruszę, panie! aż nie przebaczysz Adamowi i mnie!... — wołała Ludmiła ze łkaniem, czepiając się kolan starca.

A stary, dumny szlachcic stał jak skamieniały, nie widział nic, tylko swoje słodkie nadzieje do szczętu zburzone, dom w upadku, poniżeniu, wielki, starożytny swój ród stępujący nisko, coraz niżej..., a wszystko to uczynił jedyny, ukochany syn, jego nadzieja i duma!... Rozdzierający głos Ludmiły wrócił mu przecie pamięć.

— Jakże się stało i kiedy? — zapytał głucho.

Rotmistrz klęcząc ciągle, opowiedział w kilku słowach historyę poznania, pokochania i poślubienia Ludki, którą uważał za bratankę pani Gorajskiej, i równą sobie stanem.

— Zbłądziłem bardzo, najdroższy ojcze! — kończył Adam — lecz na mnie tylko spada cała wina! Ludmiła jest niewinna... dzieckiem prawie była... a chyba tem zawiniła, że mnie zbyt mocno kochała... Niechże za to nie ponosi tak srogiej kary, jaką jest dla niej gniew twój, ojcze!...

— Najukochańszy ojcze i panie! Przebacz im! — wołała Bożena, klękając także.

— Dałeś słowo, panie Wojciechu! — szepnął hetman.

— Ulituj się nad nimi, zacny panie! — prosił pan Marek.

Wtem stary rycerz spojrzał na Gabryela, i serce zamarło mu z przerażenia i litości. Spostrzegł on w tej chwili to, czego inni wśród ogólnego wzruszenia nie zauważyli: młody bohater był konający, a oczy jego z wyrazu niewypowiedzianej żałości, nadziei i zwątpienia, błagały jeszcze o szczęście dla drugich. Pot wystąpił na czoło pana Wojciecha, czuł on, że grzechem i barbarzyństwem byłoby odmawiać ostatniej pociechy temu umierającemu rycerzowi, któremu nietylko on, ale i Ojczyzna była tak wiele winna; więc pochylił się ku Ludce i rzekł łagodnie:

— Wstań waćpanna! Piękna jesteś jak zorza, a syn mój młody... nie dziw, że uległ pokusie!... Przebaczam wam dla prośby twego szlachetnego brata i za córkę cię przyjmuję dla tego, że jesteś siostrą Gabryela Hołubka. Choć w niskim stanie zrodzona, z zacnej pochodzisz rodziny, bo szlachetna musi być krew wasza, skoro wydała takiego męża, jakim jest brat twój. Przeto i ty córką mi będziesz najmilszą!... Nie płacz!...

— O, nasz najukochańszy, najdroższy ojcze i panie! — wołał Adam i wraz z łkającą Ludką całował kolana wzruszonego rodzica.

— Niech ci Bóg zapłaci, szlachetny panie! za to szczęście jakiem darzysz moją siostrę, a więc i mnie — szepnął słabym głosem Hołubek. (C. d. n.)

WPŁYWY SŁOŃCA NA JESTESTWA ZIEMSKIE.

POGADANKA NAUKOWA.

(Dokończenie).

Moleschot okazał doświadczeniami, że ilość kwasu węglanego, wyziewanego przez zwierzęta i człowieka, wzrasta wraz z powiększaniem się światła dziennego i maleje do ostatecznej swej granicy w zupełnej ciemności. Widzimy ztąd, że promienie słoneczne ze wszech względów są pierwszym warunkiem bytu jestestw organicznych na powierzchni ziemi. Słońce dostarcza im ciepła, bez którego życie wkrótceby wygasło, oraz światła, wpływającego na żywienie się roślin, a tem samem i zwierząt, a niemniej w każdej chwili, za jego sprawą, ciała wychodzą w nowe związki lub też rozkładają się na pierwiastki. Słońce jest nieustannem źródłem i szafarzem ruchu, siły i życia. Plemiona ludzkie korzystają dziś nietylko z siły rozpraszanej na ziemi przez tę gwiazdę olbrzymią pod postacią promieni cieplikowych, świetlnych i chemicznych, ale nadto z zapasów tejże siły, nagromadzonej przed milionami wieków.

W rzeczy samej, pokłady węgla kamiennego, w łonie ziemi zagrzebane, są niczem innem, tylko produktem zgęszczonego światła słonecznego w rozległych lasach okresu zwanego w geologii węglowym. Starożytne drzewa w tej epoce się rozrastające, jakoto: wieliaki, skrzypy, tepidodendrony, paprocie i t. p., butwiejąc, przetworzyły się w tkankę torfiastą, następnie w masę kamienistą, jaką przedstawia węgiel ziemny. Dziś w zakładach fabrycznych, w lokomotywach dróg żelaznych i wszelkiego rodzaju machinach parowych, ten szacowny produkt słoneczny oddaje człowiekowi najrozmaitsze usługi, obdarzając go światłem ciepłem, a co najważniejsza, siłą mechaniczną. Słońce złożyło w węglu kamiennym olbrzymi kapitał, z którego dziś wszyscy użytkujemy.

Znakomity fizyk angielski Tyndall z nieporównanym talentem obserwuje rolę, jaką odgrywają promienie słoneczne w przyrodzie.

Wszelki przejaw siły na ziemi — powiada ten pisarz, ma swe źródło w słońcu. Pomijając już wybuchy wulkanów, przypływy i odpływy morza, wszelkie zjawisko siły organicznej, życiowej lub fizycznej, rodzi się w słońcu. Ciepło słoneczne utrzymuje morze w stanie płynnym i atmosferę powietrzną w stanie gazowym. Burze morskie i huragany atmosferyczne powstają pod wpływem siły mechanicznej słońca. Pomieszcza ono na stokach górskich źródła rzek i lodowce, a tem samem wytwarza wodospady i lodozwały, których siła spadku w słońcu się poczyna.

Pioruny i błyskawice są z kolei przejawami potęgi słonecznej. Ogień, płonący na kominku i płomień świecy w pokoju rozpraszają ciepło i światło, jakie pierwotnie należały do słońca.

Przenieśmy się na pole bitwy; każde starcie się piechoty dwóch nieprzyjaznych sobie armii, każda szarża jazdy, każde pchnięcie pałaszem, lancą lub bagnetem, jest siłą mechaniczną słońca złożoną w żołnierzu. Słońce nas wita światłem i ciepłem, żegna nas temiż zjawiskami swej siły, lecz w czasie upływającym, między jego przybyciem a odejściem, wytwarza ruchy na ziemi, pod najrozmaitszemi postaciami. Wszelkie siły ziemskie czerpią swe źródło w słońcu.

Wiedza dzisiejsza wysnuwa nam jeden z najpiękniejszych poematów, wzruszających inteligencyą i wyobraźnię człowieka. Znawca przyrody dziś spotyka na każdym kroku cuda, które odurzają go swą wspaniałością.

W obec tych wyników nauki, umysł nasz dostrzega pewne węzły, jednoczące wiedzę z pojęciami religijnemi wszelkich wyznań, na wschodzie i zachodzie, w starożytności i w czasach nowożytnych.



WŚRÓD ZIMY. (Obacz objaśnienia rycin na str. 48).

Cześć ognia, wielbienie słońca, były tylko dziecinnemi pojęciami rzeczywistej idei, a mianowicie tej, że wszelka siła ziemska, jako to: ruch, życie, myśl, poczyna się z potrójnego oddziaływania słońca na ziemię, z promieni jego cieplikowych, świetlnych i chemicznych. Myśl tę rozwija przedziwnie pewien francuski uczony w znakomitej swej pracy Wiedza i religie.

»Plemię aryjskie — powiada on — rozpatrując się w przyrodzie, dostrzegło, że wszelkie ruchy ciał nieożywionych na powierzchni ziemi, powstają z ciepła, przejawiającego się pod postacią ognia, gromu piorunowego lub wiatru. Ogień przed swym przejawem mieści się w materyach roślinnych, piorun ukrywa się w chmurach, wiatr wytwarza się, gdy powietrze zostaje w ruch wprawionem przez ciepło rozrzedzające atmosferę, która się znowu zgęszcza, gdy toż ciepło z niej ustępuje. Z kolei rośliny palność swą czerpią ze słońca, które gromadząc w nich ciepło, wpływa na ich wzrost. Powietrze ogrzewanem jest również przez promienie słoneczne. Też same promienie zmieniają wody morskie i rzeczne w parę, a następnie w chmury brzemienne piorunowym gromem. Chmury rozlewają deszcze, zasilające wodą rzeki i morza. Cały ten ruch, ożywiający naturę, jest jednem słowem dziełem ciepła, pochodzącego ze słońca, które jest zarazem wędrowcem w szlakach niebieskich i siłą poruszającą wszechświat.

Życie według pojęć aryjczyków wiązało się ściśle z ogniem. Skupianie się ciepła słonecznego w roślinach, to zjawisko wyśledzone przez wiedzę tegoczesną, znanem było oddawna ludom starożytnym.

W księdze Weda napotykamy ślady dość wyraziste tego pojęcia. Indyanie — mówi ta księga — paląc drzewo na ognisku, zniewalali je do zwrotu ognia, jakiego mu słońce udzieliło. Zresztą węzeł, łączący ciepło z życiem, przedstawiał się ludom pierwotnym z przedziwną jasnością. Ciepło to utrzymywało bezwątpienia życie zwierząt, gdyż żadne z nich bez ciepła nie mogłoby utrzymać swego istnienia. Siła życiowa potężniała, według Wedy, wskutek przyrostu ciepła, i wraz z jego pomniejszaniem się słabła. Jak widzimy, pojęcia starożytnych nie wiele odstępują od prawd, będących dziś fundamentem wiedzy przyrodniczej. Życie, powiada księga święta Indyan, może istnieć na ziemi przy współudziale trzech głównych warunków. Ogień przejmuje ciała pod dwiema postaciami, z tych jedna przejawia się w promieniach słonecznych, druga w pokarmach gorących, trzecia w oddychaniu, które jest również paleniem, gdyż wytwarza ciepło. W rezultacie więc ogień niebieski jest siłą świat poruszającą, jest rodnikiem życia.

Myśl nie może przejawiać się w jestestwie pozbawionem życia, a co więcej, przejawia się ona głównie tylko w rzeczach zwierzęcych doskonalszej organizacyi. Zwierzę, rozstające się z życiem, pada na ziemię, staje się nieruchomem, oddychanie w niem gaśnie, ciepło znika, myśl nicestwieje. Człowiek pozostający w tym stanie, traci świadomość, zmysły jego już nie mają władzy, z sinych ust nie wybiega już żadne słowo, nawet jęk boleści w końcu nie daje się już słyszeć. Ręka jego nie szuka już uścisku rodzeństwa zgromadzonego w koło śmiertelnego łoża, wszelkie objawy myśli i uczucia ustają.

Wkrótce potem zwłoki ulegają rozkładowi, trupa przyjmuje ziemia, a po kilku latach pozostaje z człowieka trochę kości zbielałych. Co wówczas stało się z myślą? Jeżeli doświadczenie nam okazuje, że wiąże się ona nierozerwanie z życiem, że gdziekolwiek myśl znika, tam i życie przestaje istnieć, możnaby wnosić, że toż samo jest przeznaczenie myśli co i życia, a raczej, że pierwiastek myślący wiąże się z pierwiastkiem życiowym, i nie może tem samem istnieć oddzielnie. Wszelako życie jest ciepłem pochodzącem ze słońca; ogień zatem, według tych pojęć byłby siłą poruszającą wszechwświat, czynnikiem życia i pierwiastkiem myśli.

Badania wiedzy przyrodniczej rzuciły już jasną garść światła na pojęcia siły i materyi, a tem samem duszy i ciała. Jeżeli w naturze nic nie ginie, a tylko zmienia się, przetwarza, to i siła duchowa człowieka ginąć nie może, a tylko ulega pewnemu przekształceniu. Ciepło przemienia się w światło, w elektryczność, w siłę mechaniczną, jak tego dowiodły ściśle doświadczenia, siła zatem życiowa musi stósować się do tego powszechnego prawa.

Wiedza przyrodnicza udowadnia więc na tej podstawie nieśmiertelność duszy, ale dalej nie może już stawiać żadnego wniosku w kwestyi, czy siła życiowa, wyswobodzona z ciała, istnieje w stanie świadomości czy też bezwiednie.

Czy zwierzęta mają mowę?

Zdaniem mojem — mówi Napoleon I, i zwierzęta mają mowę, za pomocą której wyrażają uczucia swe i potrzeby. Trzeba się w nią wsłuchać aby zrozumieć jej wyrazy. Koń ma pamięć, umie poznać i kochać człowieka. Wyróżnia pana pomiędzy sługami i wita go rżeniem radosnem. Miałem konia, który poznawał mnie w największym tłumie i gdym wsiadł na niego, skokami i chodem dawał do poznania, że mnie nosi. Jeżelim zbłądził z drogi, puszczałem go samopas i odnajdywałem ją zawsze w okolicy, w której cała moja zmyślność i znajomość miejsc na nicby mi się nie zdały. Któż zaprzeczy inteligencyi psu? Jest łańcuch pomiędzy zwierzętami.

Rzecz pewna, że każde zwierzę ma swój język odrębny; niedoskonałość naszych organów nie zawsze pozwala nam go zrozumieć; odgadujemy go jednak wyższością naszego umysłu. Oto co pisze Guliani jeszcze w 1772 r.: Dla rozrywki chowam dwa koty i studyuję ich obyczaje; od wieków trzymamy koty, nikt jednak jeszcze nie poznał ich dokładnie. Mam kota i kotkę, trzymam je w odosobnieniu od innych i obserwuję zachowanie się pary. Przekonywam się, że kot miauczy wówczas tylko, gdy przyzywa nieobecnych towarzyszy i że miauczenie kota odmienne jest zupełnie od głosu kotki. Śród ptaków różnica ta występuje jeszcze widoczniej. Śpiew i siła głosu zdają się być przywilejem samców; dość porównać pianie koguta z gdakaniem kury. Wsłuchując się w miauczenie kota, można rozróżnić w niem przeszło dwadzieścia różnych stopni i odcieni, które bez przesady wziąć można za odpowiednie wyrazy języka tych zwierząt; stopnie bowiem są zawsze jednym dla tej samej rzeczy.

Ktokolwiek obserwował dłużej zwierzęta domowe: czworonogi, ptaki lub owady, tego zdumią wszystkie cuda ich instynktu i odgadnie ich gwar tajemniczy dla naszych słabych organów.

Brzmi on jak szmer suchy, to rozchodzi się jak szelest kaskady lub grzmienie gromu, to płynie wdzięczną melodyą. Jest w nim cała orkiestra, wierne echo wszystkich instrumentów muzycznych. Trzeba się weń wsłuchać, aby pochwycić całe bogactwo i rozmaitość zawartych w nim odcieni. Niebezpieczeństwa, strach, głód, miłość, pogoda, burza, wszystko ma w nim swój wyraz odpowiedni, różny od innych. Niektóre z nich człowiek zdołał podsłuchać, pojął ich znaczenie: kiedy sroka, puchacz, wilga, dzięcioł lub sowa podwajają swe krzyki — deszczu należy się spodziewać; każde z nich odmiennym zapowiada je głosem. Inne ostrzegają nas w porę: krzyk pawia zdradza obecność obcego w pobliżu, krakanie kruka jest zwiastunem nieszczęścia. Jenerał Gourgand opowiada, że kiedy Napoleon był pod Moskwą, kruki całemi stadami krążyły koło wojska, biły skrzydłami i krakaniem zdawały się ostrzegać je o klęsce. Te złe wróżby strwożyły całą armię.

Mowa zwierząt tak samo jak ludzka może się doskonalić. Ptaki zwłaszcza przyswajają sobie głosy innych odmian, naśladują je i w ten sposób wzbogacają swój język; niektóre z nich naśladownictwo posuwają do kradzieży i przywłaszczają sobie nutę, nawet arye. Szpak, papuga przyswaja sobie wszystko co zasłyszy.

Miałem słabość do ptaków — mówi Maksym de Tyr — i trzymałem ich bardzo wiele w klatkach; między innemi miałem wiele odmian śpiewających przyjemnie wprawdzie, lecz bez żadnej melodyi. Przyszła mi ochota uczyć się grać na flecie; po pewnym czasie samouczki moje nawykły do głosu tego instrumentu i zaczęły nań odpowiadać; po pewnym czasie tak udoskonaliłem ich słuch, że ilekroć zaczynałem grać aryą jaką na flecie, wszystkie ptaki akompaniowały mi, tworząc rodzaj chóru.

DROGA DO NIEBA.

Matulku moja, matulku miła,
Czemuś się, czemu pod ziemię skryła?
A mnie na ziemi żyć już nie miło,
Lepiejby, lepiej umrzeć raz było.

Wszak ty mnie słyszysz, matulku droga?
Tyś była dobrą, tyś już u Boga;
A jam została w ciężkiej żałobie,
By wiecznie płakać na twoim grobie.

Choć dobrzy ludzie niosą pociechę,
Choć dzielą ze mną swój chleb i strzechę,
Choćby mi dali świata dostatki,
Co mi po wszystkiem? gdy nie mam matki!..

Nic mnie nie bawi na bożym świecie,
Ni śpiew słowika, ni wonne kwiecie;
Ani w taneczku pląsów zawiodę,
Nie dbam o stroje i o urodę.

Matulku moja, matulku miła,
Pocoś mnie, po co tu zostawiła?
Tobie tam lepiej u Boga w niebie:
Jeźli mnie słyszysz, weź mię do siebie.

Tak śpiewała sierota przy wiejskiej mogile;
Głos jej w ciszy cmentarza rozchodził się mile;
Śpiew płynął z głębi serca, prosty, nieuczony,
A rosa łez skrapiała grobowiec zielony.
Usłyszał tę piosenkę ksiądz proboszcz sędziwy:
On dla swoich parafian, niby ojciec tkliwy;
U niego rada, wsparcie, w zwątpieniu otucha,
On chętnie łzy obetrze, użaleń wysłucha;
On sypiąc kwiat nadziei na ciernistę drogi,
Wiedzie gościńcem Pańskim lud swój ubogi.
»Bóg z tobą, moje dziecię! słyszałem twe słowa,
Żałość twoja jest słuszna, ale grzeszna mowa;
Możesz płakać po matce; płacz ból twój złagodzi!...
Lecz ty przyzywasz śmierci, a to się nie godzi...
Bóg sam zakreślił metę ludzkiego żywota.
Cierpliwość wśród boleści chrześciańska cnota!
Ja ufam, równie jak ty w miłosierdzie Pana,
Że już szczęśliwa w niebie twa matka kochana;
Że tam wieczną nagrodą cieszy się z świętemi...
Ale wspomnij co ona przeniosła na ziemi,
A czy wzywała śmierci? Choć wyroki Boże
Ciężkie krzyże zsyłały — znosiła w pokorze;
Nigdy z ust jej nie wyszło najlżejsze szemranie,
I tylko powtarzała: wola Twoja Panie!
I tobie przykład matki naśladować trzeba,
Pomnąc, że droga cierpień najbliższa do nieba.
Sam Chrystus przewodnikiem na tej trudnej drodze:
Wszak On na drzewie krzyża rozpięty był srodze,
Wszak poniósł z cierpliwością wszelkie udręczenia
I krzyżem nam otworzył podwoje zbawienia!
U stóp więc tego krzyża złóż boleści brzemię,
A znów weselszem okiem spojrzysz na tę ziemię,
I jakakolwiek będzie życia twego droga
Pełniąc cnotę z twą matką złączysz się u Boga.«

O długości życia ludzkiego.

Wiadomo powszechnie, że w dzisiejszych czasach nie wiele znajduje się ludzi, którzyby żyli nad siedmdziesiąt, a ośmdziesięcio- i dziewięćdziesięcioletni starcy należą prawie do osobliwości. Zachodzi pytanie, czy człowiek dłużej żyć nie może, i czy Pan Bóg taki tylko termin człowiekowi do życia przeznaczył?

W piśmie świętem, w Starym Testamencie znajdujemy wzmiankę o ludziach, którzy żyli po sto kilkadziesiąt lat, a nawet i dłużej. I tak: Abraham patryarcha żył lat 175, a żona jego Sara 127, Izaak syn Abrahama 180, Jakób 147, Ismael 137, Józef patryarcha 110, Mojżesz 120, a nawet Matuzal, którego imię weszło w przysłowie: żyć lata Matuzalowe, miał żyć lat 900. Dawne to bardzo czasy, ale i teraz gdyby ludzie zachowywali się tak jak Pan Bóg przykazał, nie robili żadnych zbytków, mogliby żyć daleko dłużej i szczęśliwiej. Człowiek będący w wieku podeszłym, liczący lat 60 lub 70, jeżeli wpadnie w chorobę, łatwiej jej ulegnie i zemrze, niźli człowiek młody, silny, a wierzcie, żeby się był zachowywał należycie, mógł się był uchronić od choroby, a tem samem i śmierci.

Jeden uczony człowiek, nazwiskiem Bufon, który całe życie poświęcił pracom nad naukami przyrodzonemi, (zajmującemi się zwierzętami, roślinami, życiem ludzkiem i t. d.) po długoletnich badaniach utrzymuje, że długość życia ludzkiego może się przeciągnąć do lat 90 i 100, a przykłady stwierdzają nawet i dłuższe życie. Pod tym względem długość życia w naszych stronach jest prawie taka sama, jak w innych krajach Europy, a nawet w innych częściach świata, w Azyi, Afryce, Ameryce, tak między ludźmi białymi, jak i murzynami; częściej jednakże w krajach chłodniejszych więcej ku północy posuniętych, zdarzają się przykłady długiego życia, niźli w krajach gorących.

Tutaj wspomnimy kilkunastu ludzi, którzy żyli po lat 100 przeszło w obcych krajach, a następnie przejdziemy do tych, którzy w Polsce urodzeni, również podeszłego wieku dożyli.

W Anglii w r. 1670 umarł Henryk Jerkins, który liczył lat 169; był to biedny rybak, który raz powołany na świadka w sprawie, która się wydarzyła przed 140 laty, przybył w towarzystwie dwóch synów, z których jeden liczył lat 102, a drugi 100, i świadectwem swem dopomógł potomkom swego dawnego przyjaciela do wygrania sprawy.

Biskup Kentingern także w Anglii żył lat 185, tyleż Piotr Czartan węgier, który na kilka dni przed śmiercią chodził.

W zamku Wiedeńskim znajdują się portrety małżonków Rowinów Węgrów, którzy przeżyli w stanie małżeńskim lat 147; Jan Rowin umarł licząc lat 172, a żona jego Sara na kilka dni przedtem mając lat 165.

W roku 1804 żył jeszcze niedaleko miasta Połocka inwalida, liczący podówczas lat 184; rodzina jego składała się z 138 potomków, między którymi było dwóch wnuków przeszło po 100 lat liczących.

Ksiądz pewien w Holthalen w Norwegii, który zmarł w XVI wieku żył lat 150; w tymże samym kraju zmarła wieśniaczka licząca 132 lat, pozostawiwszy męża 110 letniego.

Na Szlązku żył starzec mający lat 132; ale najciekawszy przykład długiego życia przedstawia niejaki Tomasz Carn urodzony w Londynie w Anglii w roku 1588, a zmarły w r. 1795 jak świadczą akta kościelne, który zatem żył lat 207.

Co do innych części świata, sławny jeden podróżnik w Afryce napotykał starców, którzy mieli liczyć po 200 lat życia. Luiza Truxo, murzynka żyła lat 175, nie zbywało na podobnych przypadkach i w Ameryce. Ale teraz pominiemy obce kraje, a przejdziemy do przykładów długowieczności w kraju naszym.

Niejaka Tarnowska licząca lat 156, zmarła z przestrachu podczas oblężenia Torunia przez Szwedów.

Fryderyk Jabkowski, dawny żołnierz saski, a następnie pruski, który przez całe życie nie chorował, zmarł w r. 1823 w gminie Długie, w powiecie Rawskim, licząc lat 140.

(Dokończenie nastąpi).

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

(Ciąg dalszy.)

Potem się ujęła w oba boki, roześmiała się onym przerażającym śmiechem, jakim się śmieją ludzie we śnie lub waryaci, i przysiadując i podskakując i w ręce »kośkając«, zaśpiewała jakimś krzykliwym głosem:

Hopsa, hopsa, hopsa,
Miała babka mopsa,
Wsadziła go w beczkę
Dawała mu sieczkę,
A on nie chciał sieczki,
Tylko gorzałeczki.
Hu! ha!
Hopsa, hopsa, hopsa!
Hu! ha!

I »hu! ha! hopsa, hopsa! hu! ha!« rozlegało się jednym ciągiem po polach i gajach, otaczających osadę. Jędrzejowa tańcowała do upadłego. Straszna była jej postać. Chustka zsunęła się jej z głowy do tyłu, siwe włosy na wiatr się rozwiały, rozszerzone źrenice i rozdęte nozdrza, wyrażały szał jakiś dziki.

U kołowrota, oparty na karabinie, stał na straży Fedko Nikitycz. Włos jego czarny, cera śniada, oko ciemne i sterczących na brodzie kilka włosów nadawały mu w porównaniu z resztą żołnierzy jakiś nieswojski wygląd. Mówiono, że Fedko był synem zamożnego tatara i litewskiej dziewczyny, wiary prawosławnej, wieku lat może nieco nad dwadzieścia. Fedko ojca swego nigdy nie znał, matkę tylko jakby przez sen sobie przypominał. Jak tylko pamięcią zasięgnąć zdołał, był sierotą i kielich sierocej doli wychylił do dna. Nie pozostało to bez wpływu na jego usposobienie. Fedko był zamknięty w sobie, rozjątrzony na ludzi, pomiędzy którymi nie miał i nie szukał przyjaciół. Nie znał nigdy pieszczot rodzicielskich, nikt go nigdy do siebie nie przygarnął, owszem, ci wszyscy, pomiędzy których los go zagnał, zazwyczaj tylko znęcali się nad nim. Fedko wewnętrznie buntował się przeciwko ustalonemu porządkowi rzeczy; jego dzika, nieokiełznana natura nie łatwo się dawała ująć w karby jakowychś przepisów. U swoich przełożonych nie cieszył się szczególnymi względami, zbyt często wyłamywał się z pod rygoru koniecznej karności.

W gruncie jego duszy drzemały popędy dobre, którym tylko życie nie pozwoliło rozwinąć się w zupełności. Nie było serca miłosierniejszego i litośniejszego; ostatek swego żołnierskiego chleba dzielił z ubogim, gdzie widział nieszczęście, tam bez wahania poświęcał swój grosz ostatni. Czuł przywiązanie tylko do jednej istoty. Tą istotą był najmłodszy syn Maksyma, starego inwalidy, który odebrawszy postrzał na Kaukazie, w nagrodę służby tu na komorze paliczyńskiej otrzymał zatrudnienie. Było to chłopię upośledzone od natury. Na cienkich nóżkach osadzony był kadłub z niepospolicie wielkim brzuszkiem, a nad ramionami wznosiła się głowa, również niepospolicie wielka z szeroką twarzą o grubych, nieprzyjemnych rysach i wydętych wargach. Przytem był on nieco słabego umysłu i ciężkiej wymowy, więc rodzice go się wstydzili, poniewierali nim wszyscy. Jeden Fedko okazał mu życzliwość. Zaraz na drugi dzień po swojem przybyciu na komorę paliczyńską pobujał go na ręku i pogłaskał po nieforemnej głowie; odtąd dzieciak przywiązał się do niego całą duszą. Gdy Fedko wolny był od służby, Pawełek, kołysząc się na swych cienkich nożkach, przybiegał do niego i podnosił ręce, jąkając coś swoim niezrozumiałym językiem. Fedko brał go na kolana, śpiewał mu tęsknym, jednostajnym głosem piosenki, opowiadał gadki. Dzieciak obejmował go za szyję, przytulał się do niego i zasypiał nieraz na jego ręku; towarzysze Fedki, patrząc na nich, nie rozumieli tego wzajemnego stósunku dwojga dusz zbliżonych niedolą i znacząco mrugali na siebie, jakby pytając, kto z nich większy głuptaś, Fedko czy Pawełek.

Fedko tedy, oparty na karabinie, stał na straży u kołowrota, gdy na komorę paliczyńską przybywała Jędrzejowa z Ignasiem i żandarmem. Bolesna historya Ignasia była znaną na komorze paliczyńskiej ze wszystkiemi szczegółami, nie była więc obcą i Fedce. Gdy ujrzał spłakane i uznojone dziecię o bladej twarzyczce i modrych jak bławatki oczkach i wątłej budowie ciała na ręku starej kobiety, w towarzystwie żandarma w hełmie i z przewieszonym przez ramię karabinem, coś jakby zgrzyt odezwało się w jego wnętrzu, ręce mocniej ścisnęły karabin. Najszlachetniejsza struna jego prostego, nieokrzesanego serca, współczucie dla biednych i uciśnionych, zadrgała głośnym dźwiękiem. Sieroca dola z całym nieskończonym szeregiem gorzkich upokorzeń stanęła mu żywo przed oczyma.

Przez czas trwania formalności przy przejmowaniu Ignasia przez władze Fedko nieco ochłonął w swej dzikiej namiętności. Ale gdy wszyscy wyszli znowu przed dom, gdy posłyszał krzyk Ignasia i szlochania wdowy, gdy ujrzał, jak dziecinę gwałtem odrywać musiano od tego jedynego na świecie serca, które ją kochało szczerze, w Fedce wrzeć i kipieć poczęło. Sądząc, że żandarm winien nieszczęściu, rzucił się na niego i kto wie, co byłoby się wydarzyło, gdyby ośmiu ludzi nie było się żandarmowi rzuciło na pomoc.

Fedko bronił się zapamiętale, zaledwie z wytężeniem wszystkich sił zdołano go powalić o ziemię, musiano go związać. Wykroczenie przeciwko karności było grube, wymagała przykładnej kary...

Jędrzejową musiano w końcu związać i furmanką odstawić do domu. Do rozumu już nie przyszła, ale ludziom nie czyniła żadnej szkody. Dniami tylko całemi włóczyła się po lasach i po polach, szukając Ignasia za krzakami, za drzewami, słowem, gdzie była jakakolwiek kryjówka. Ale biada stróżowi bezpieczeństwa publicznego, który jej się nawinął na oczy. Czy był w zielonym czy w jakimkolwiek innym mundurze, Jędrzejowa zbierała w fartuch kamienie i obsypywała go gradem pocisków. Próbowano ją poskromić karami, zamykano do aresztu, żandarmi w walkach z nią staczanych nieraz ją poturbowali. Nic to nie pomagało, Jędrzejowa kary odsiadywała, a po wyjściu z aresztu znów broiła swoje. Walka z waryatką była trudna. W interesie porządku i bezpieczeństwa publicznego, zdecydowano się nareszcie zamknąć ją do domu obłąkanych. Wywieziono ją do Świecia. Tu, pozbawiona wolności błąkania się po polach i lasach, popadła w szaleństwo. Paraliż mózgowy, częsty towarzysz tego rodzaju chorób, położył niezadługo kres jego cierpieniom.

IV.

Ignaś bawił w Kozienicach. Pan wójt przywiózł go śpiącego do domu; umęczone płaczem i zmizerowane dziecko usnęło mu na kolanach. Pan wójt dobre miał serce i sam się spłakał przy onej rozdzierającej scenie pożegnania pomiędzy Ignasiem a Jędrzejową na komorze paliczyńskiej. Gdyby to więc od niego samego zależało, byłby Ignasia przyjął za własne dziecko i nie byłby pozwolił zakrzywić palca na niego. Ale pan wójt miał żonę, obarczoną sporą gromadką własnych dzieci, a nadto przyzwyczajoną w domu sprawować samowładne rządy. Wiadomo zaś, iż kobiety w ogólności tylko do własnych dzieci się przywięzują całą duszą, względem obcych zaś dzieci mało okazują uczucia. Więc pani wójtowa się skrzywiła, gdy jej małżonek jako nowego członka rodziny przedstawił Ignasia, ale nic nie rzekła. Gdy wieczór nadszedł, posłała mu »sienniak« w kuchni i dała starą derę do nakrycia. Pierwszy raz w życiu dziecina biedna zasypiała i budziła się bez pieszczot babki. Tak szło przez cały tydzień. Na końcu tygodnia pani wójtowa poczęła mruczeć coś pod nosem na przybłędów, poczęła wreszcie fukać na Ignasia i poszturchiwać go. Dzieciaczysko biedne się rozpłakało i poczęło się modlić, żeby go odesłano do babki, gdzie mu było tak dobrze.

To zamiast uśmierzyć, wywołało tylko nowe wybuchy gniewu pani wójtowej. Zapowiedziała mu, że odtąd będzie sypiał z wolarkiem w oborze, bo słanie łóżka co wieczór zbyt jej wiele robi subjekcyi. Pan wójt próbował robić uwagi, nadmienił, że to sierota, a nad sierotami Bóg litować się każe pod utratą swego błogosławieństwa. Gdy jednakże pani wójtowa, tupnąwszy nogą, kazała mu być cicho, dodając, że on tego nie rozumie, że pewnie jeszcze własnych dzieci ma mało, żeby sobie na kark brać jakichś tam znajdów, — zamilkł, nacisnął czapkę i wyszedł z domu. Ale markotny był cały dzień, nie jadł i nie pił, a gdy widział, że nikt go nie podpatrzy, pogłaskał Ignasia po jego drobnej, wybladłej twarzyczce.

Ignaś przez dwa tygodnie w nocy sypiał z wolarkiem w oborze, przez dzień włóczył się z nim po polu. Biedne dzieciaczysko dziczało, w jego niebieskich oczach wyczytać można było jakiś wyraz przestrachu na widok obcego człowieka. Pani wójtowa coraz mniej łaskawe zaczynała mu pokazywać oblicze, nieraz, zaperzywszy się, wygrażała pięściami nad jego jasną główką.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Powrót niedobitków armii rosyjskiej w roku 1813. Każdy jako chłopiec słyszał w szkole z historyi powszechnej o wielkim Napoleonie, który na początku tego stulecia cały świat nieoledwie zawojował. Jedynie Moskal i Anglik opierał mu się. W roku 1812 na czele niesłychanej naówczas półmilionowej armii wyruszył on na północ w głąb kraju rosyjskiego. Z początku dobrze mu się powodziło, zadał wojsku ciężką klęskę pod Smoleńskiem i zajął Moskwę. Już jednak wtedy upadek wojska Napoleona zdawał się być przypieczętowany. Tak olbrzymia armia potrzebuje zapasów żywności, a Moskale nietylko, że Moskwę zupełnie opuścili, ale wszelkie zapasy żywności pozabierali. Tymczasem zbliżała się sroga zima, która w Rosyi rychlej i gwałtowniej wybucha, jak u nas. Gdzież tu szukać tyle żywności? Do tych utrapień przyszła rzecz najstraszliwsza, Moskale podpalili zewsząd Moskwę i wykurzyli z niej Francuzów. Zgłodniała armia rozproszyła się na wszystkie strony. Nigdzie nie mogła znaleść dostatecznych kwater i żywności, a tu na dobitkę zjawiali się ze wszystkich stron na swych lekkich koniach kozacy i jak mogli, tak dokuczali Francuzom. Tysiące wyginęły od miecza, tysiące wyginęły od mrozów. Z całej tej dumnej armii ocalało zaledwie 30 tysięcy żołnierza. Napoleon, który sądził, że sam widok tyle wojska upokorzy Rosyan, zmuszony był na pojedyńczych sankach przez zamarzłą rzekę Berczynę uciekać z Rosyi. Prawdziwy sąd Boży nastał wtedy dla niego. Bóg karał go widocznie za to, że w pysze i zarozumiałości swej pragnął nawet Kościół święty uczynić narzędziem zaborczej swej polityki, a gdy mu Pius VII godny namiestnika Chrystusowego stawił opór, kazał czcigodnego starca więzić przez kilka lat.

Nie wzruszyła go utrata tak dzielnego wojska, nie upatrywał w tem wszystkiem palca Bożego, owszem kazał ogłosić narodom, że chociaż armia znikła, on żyje i jest zdrów. Siebie więcej cenił od tych setek tysięcy zmarniałych żołnierzy. Kara Boża go nie minęła. Z mocarza świata stał się z niego w dwa lata później jeniec Anglików na wyspie Helenie, który tam w roku 1821 życia dokończył.

Wśród zimy. Każda pora roku ma swój urok, ma swój czar, który serce człowieka napełnia serdeczną radością. Jakże to każdy się cieszy, gdy po srogiej zimie słonko poczyna coraz wyżej wzbijać się na niebie i siłą swych promieni usuwa lody i śniegi. Ale po ponurej jesieni z jaką rozkoszą witają i starzy i młodzi pierwsze płatki śniegu. Każda pora roku ma swój urok, ma swoje radości. I zima w nie obfituje. Przypatrzmy się ślicznemu krajobrazowi. Wśród zasp śnieżnych otoczonych zewsząd obnażonemi z liści drzewami leży młyn. Latem, gdy przyroda okrywa się w zieloność najcudniejszych barw i roztacza naokół rozkoszną woń, wtedy i młyn z radości poczyna turkować wesoło. Zdaje się wiedzieć, że i on konieczny się staje, że i bez niego ludzie się obyć nie mogą, on jest tym pośrednikiem, który dostarcza tak niezbędny ludziom chleb, przez to, że zboże miele na mąkę. Nastaje zima. Wszystko odpoczywa, przyroda okrywa się białym całunem i w tej szacie oczekuje wiosny. I młyn częściowo odpoczywa, ażeby na przyszłą wiosnę z świeżemi siłami rozpocząć na nowo zwykłą codzienną pracę.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

W jaki sposób dawniej jadano?

Od początku świata aż do XVI wieku ludzie przy jedzeniu wyłącznie prawie posługiwali się palcami, rzadko kiedy używając noża i łyżki; co do widelcy, królowie tylko je posiadali. Czytając opisy zbytkownych uczt rzymskich trudno sobie wyobrazić, że marnotrawca Lukullus i inni dostojnicy palcami brali z półmisków potrawy, a kości obgryzione zapewne pod stół rzucali. To samo było w wieku XV na wykwintnym dworze francuzkim, ale tam dobry ton wymagał, żeby brać z półmiska trzema palcami jedynie, nie wybierać lepszych kawałków, palców nie wycierać o szaty, ani też nie oblizywać itp. W tych warunkach zwyczaj umywania rąk przed każdą potrawą był koniecznością, odbywało się to zaś z całym ceremoniałem: paziowie podawali gościom srebrne lub złote miski, oblewając im palce wodą zaprawioną pachnidłami. Ztąd także pochodzi zwyczaj zmieniania obrusów po każdej potrawie; od razu kładziono ich kilka, za każdym daniem zdejmując wierzchni obrus, który niewątpliwie musiał być w opłakanym stanie.

Aż do początku XVII wieku zamiast talerzy dla każdego biesiadnika, stawiano jednę misę na kilka osób. Głęboki talerz do zupy należy do niezbyt dawnych wynalazków.

Widelec po raz pierwszy ukazuje się w Wenecyi, w XIII-ym wieku, a posługuje się nim przy stole córka cesarza wschodniego, poślubiona synowi władzcy Wenecyi. Niewinne to narzędzie było powodem takiego zgorszenia, że publicznie piorunowali przeciw niemu kaznodzieje. Długo uważany był widelec za rzecz bardzo zbytkowną; żona Karola Pięknego (r. 1314), Klementyna węgierska miała tylko po jednym widelcu, a księżna Tours posiadała ich dwa. W inwentarzu stołowym króla francuskiego Karola V, wymienione jest dziewięć złotych a dwa srebrne widelce: Karol VI (roku I418) miał ich tylko dwa. Henryk III i jego ulubieńcy posługiwali się zawsze widelcami, ale ogół tego nie naśladował, a moraliści surowo potępiali. Do przeciwników tego narzędzia należała także Anna Austryaczka, która jeszcze w r. 1651 jadała tylko palcami. Ludwik XIV miał ten sam zwyczaj Włosi i Niemcy wprzód używali widelca niż Francuzi, do Anglii dostał się najpóźniej; przywiózł go tam z Włoch Anglik Koryet w początkach XVII wieku, ale został ogólnie wyśmiany, widelce zaś uznano za narzędzie »dziwne, niewygodne i niebezpieczne.» Jakiż to przeskok od tych pierwotnych obyczajów do naszych wspaniałych zastaw stołowych!

Tak być powinno.

Mienny, ale prosty w obyczajach gospodarz, który był wskutek tego wielkim przeciwnikiem nowoczesnego wychowania dziewcząt, ostrzegał swego syna dorosłego przed owemi uczonemi panienkami, które nie potrafią nic innego, jak stroić się, nadymać się jak pawie, czytać przez dzień cały miłosne historyjki, albo przepędzać z równemi sobie koleżankami czas na czczej pogadance. O gospodarstwie domowem za to panienki takie nie mają zwykle najmniejszego wyobrażenia, nie potrafią nawet niejednokrotnie odróżnić perki od główki kapusty. »Ty powinieneś sobie poszukać rzeczywistą gospodynią, która się pracy nie wstydzi i potrafi sobie radzić w gospodarstwie,« mawiał często zacny gospodarz do syna, gdy w kółku rodzinnem roztrząsano sprawę jego przyszłości. Nie uganiaj się za małpiątkiem strojnem z palonemi włoskami u grzywki, które woli się przewrócić przez miotłę, a nie podniesie jej. Nie potrzebujesz się też oglądać za żoną, któraby ci wniosła w dom sporo grosza, ja ci dam wystarczająco, a przytem ty sam powinieneś sobie rzetelnie zarobić na życie. Nie sam pieniądz bowiem człowieka robi szczęśliwym na tym świecie. Szukaj zatem sobie panienki przystojnej, statecznej, któraby była podług twego gustu i podług twej myśli; zważaj też szczególnie i na to, ażeby była z odpowiedniego stanu i potrafiła samodzielnie kierować gospodarstwem domowem. Ziarno nauk ojcowskich padło na urodzajną glebę, tem więcej, że syn widział, iż ojciec nietylko radzić potrafi, ale też wedle tych rad postępować. Pojął bowiem za żonę gospodynię zaradną, która była mu także kochającą żoną a dla dzieci czułą matką. Najwięcej bo już bawił się syn przestrogą ojca, ażeby sobie za żonę nie brał takiej istoty, która woli się potknąć o trzonek miotły, aniżeli miotłę podnieść. Wyczekiwał z upragnieniem sposobności, kiedy by mógł naocznie się przekonać, o ile ojciec miał słuszność. Nie długo na nią czekał. Rodzina obchodziła jakąś uroczystość, na którą sproszono także licznych gości. Przybyli ojcowie z małżonkami i córuniami, z których co jedna, to urodziwsza i więcej wystrojona. Wszystkie one miały oko na bogatego syna dziedzica. Tenże nie zajmował się dotąd żadnę z nich poważniej. Tą razą postanowił jednak jedną z nich zdobyć. Miała nią zaś być ta, która miotłę podniesie. Wtajemniczył więc w całą sprawę jednego z przyjaciół i obaj zabrali się do dzieła. Udali się na podwórze, wydobyli z jakiegoś kąta miotłę i położyli ją na poprzek właśnie na tem miejscu, przez które za chwilę mieli wszyscy przechodzić na przechadzkę. Nadchodzą panienki, śmiejąc się pu-

stym śmiechem, jedna za drugą przechodzi przez miotłę jak najdelikatniej, ażeby sobie może nie okaleczyć trzewiczka lakierowanego. Żadnej jednak nie przyjdzie na myśl, ażeby miotłę podnieść. Nakoniec zbliża się jeszcze jedna dziewica, nadobnie ubrana, ale stateczniejsza i przyjemniejsza w obejściu. Widzi miotłę, schyla się, podnosi i niczego się nie domyślając, stawia ją w narożniku. — Któż był tą szczęśliwą? Otóż była to córka ciężko doświadczonego dziedzica, który wskutek nieszczęść rozmaitych zaszedł w końcu na stanowisko dzierżawcy swych dawniejszych dóbr. Dawniej już panienka ta zrobiła na młodym człowieku wskutek swej stateczności jak najlepsze wrażenie, a nie przeczuwał szczęśliwiec wtedy, że ona to przeznaczoną mu została na żonę. Dotrzymał też słowa, poprowadził wkrótce potem panienkę do ołtarza, a oboje nie będą pewnie nigdy żałowali, że się pobrali. Nieraz młody dziedzic opowiadał w gronie znajomych o tym szczęśliwym wypadku, który mu żonę zacną w dom wprowadził. Panienki zaś drugie nie mogły sobie przez długi czas wybaczyć, że zostały na koszu jedynie dla tego, że miotły nie podniosły. Za późno było jednak żałować. Dla tego, panienki, ostrożnie! Podobna próba może się raz jeszcze wydarzyć w życiu. Może niejedna z was wystawioną już była kiedyś na coś podobnego, a nie domyśliła się przyczyny? Uważajcie zatem w przyszłości, a z pewnością mąż was nie minie.

Praktyczne rady.

— **Lekarstwo na zdrowie.** Umiarkowanie w jedzeniu i piciu, codzienne przebywanie na świeżem powietrzu bez wysilania przytem ciała, unikanie gniewu, niemiłych wzruszeń i oburzenia, czyste sumienie, pracowitość, jako też spokój należyty tak potrzebny do zachowania i dopełnienia siły fizycznej człowieka — to są najprostsze, ale najskuteczniejsze środki do zachowania lub przywrócenia tegóż gdy go brak. Oczywiście, że należy się ubierać stósownie do pory roku.

— **Odkręcić zardzewiałą śrubę?** Nieraz się zdarzy, że śruba zardzewieje, lub została tak mocno przykręcona, że niepodobna dać jej rady. Wtedy trzeba do niej przyłożyć haczyk żelazny rozgrzany w ogniu do czerwoności i potrzymać go przez kilka minut. Wiadomo, że w skutek ciepła kruszce się rozszerzają; rozgrzana śruba rozszerzając się, wywiera ciśnienie na otaczające ją drzewo, które ustępuje pod tym naciskiem. Po ostygnięciu zostaje więc niejaka próżnia, śruba jest lżej osadzona i wtedy łatwo ją odkręcić.

Rozmaitości.

* **W dawniejszych** czasach karano nietylko za palenie ale i za zażywanie tabaki; występowali przeciwko jednemu i drugiemu tak świeccy jak i duchowni książęta. Niektórzy chcieli nawet nos kazać obrzynać zażywającemu. Mimo to okropne te prawa nie osiągnęły skutku We Francyi zażywały pod Ludwikiem XIII nawet piękne damy. Zażywała tabakę pierwsza królowa pruska,zażywał Fryderyk Wielki, król pruski, zażywał ją książę Eugeni, który bił Turków i Francuzów i uczynił Austryą wtedy sławną. Nos jego przyrównać można było do prawdziwego dołu torfowego.

* **Swego czasu** narobiły niemało wrzawy elektryczne śpileczki do zatykania w krawatce. Śpileczka miała tę właściwość, że za pomocą jakiegoś pojedyńczego mechanizmu roztaczała naokół elektryczne światełko. Mechanizm jednak nie był nadzwyczajny, światełko było blade i w krótkim czasie śpileczka się psuła. Krótkie też było panowanie tych śpileczek. Obecnie wynalazła jakaś firma angielska lampeczki do zegarków kieszonkowych. Lampka przymocowana jest pomiędzy cyferblatem a szkłem zegarka w kopercie, w jednym przypadku z takową razem, w drugim przymocowana do zegarka osobnym mechanizmem. Mała baterya kieszonkowa doprowadza lampce potrzebnej elektryczności. Na główce zegarka mieści się przyrząd do wsuwania bateryi, tak, że lampka natychmiast się zapala i wśród największych ciemności widzieć można, jak późno. Owe lampeczki, gdy się u nas pojawią, powiekują zapewne podobnie długo, jak owe śpileczki.

* **Nietylko pszczoły miód zbierają!** W Nowym Meksyku, na miejscowościach suchych i wysokich, zauważono niedawno gniazda mrówek zbierających, jak pszczoły, zapasy miodu. Są to owady nocne, a miód zbierają z gałek galasowych. Smak miodu jest nieco cierpki, ale mieszkańcy Meksyku i Indyanie uważają go za wielki przysmak. Tysiące mrówek zbiera do funta miodu.

* **Samobójstwo u zwierząt.** W Holandyi, gdzie często używają osłów do ciągnienia ciężarów, zdarza się, że zwierzęta odbierają sobie życie uderzeniem głowy o mur lub w inny sposób. Dotąd nie stwierdzono powodów samobójstwa. Mogą być niemi albo dotkliwy ból głowy, albo też obrzydzenie sobie ciężkiego życia. Coś podobnego opowiadają o owcach w Południowej Ameryce: cierpiąc głód lub zimno gromadzą się w wielkie stada i wskakują w głębokie przepaści. Także u koni i psów zauważono skłonność do samobójstwa.

* **Jakiś Anglik** stwierdził, że muchy mają swój język, którym do siebie rozmawiają. Do spostrzeżeń swych użył instrumentu, nazwanego mikrofonem. Mikroskop powiększa w oczach naszych wszystko, mikrofon uwydatnia każdy dźwięk, a więc i taki, którego uchem ludzkiem ująć niepodobna. Mucha w mikrofonie wydawała głosy podobne do szmeru. Szmer ten zaś był podobny do rżenia konia w oddali. Jak

to dobrze, że ucho nasze nie ma wydoskonalenia mikrofonu. Inaczej musielibyśmy mieć latem nerwy mocniejsze od postronków, ażeby wytrzymać koncert, jakiby nam muchy urządzały.

* **Zużywanie śpilek.** Pewien turysta, nie mający widocznie nic lepszego do roboty, zajmował się przez dziesięć lat zbieraniem wiadomości tyczących się zużywania szpilek w Europie. Z wiadomości tych okazuje się, że Europa wyrabia 80,000,000 szpilek codziennie i tyleż prawie ich codziennie gubi. Najwięcej dostarczają ich Londyn i Dublin (50 mil.) a zużywa Paryż.

* **Jak dawno szkło w użyciu?** W Egipcie znaleziono główkę lwią ze szkła, na której było imię jednego z Faraonów. Główka ta była najlepszym dowodem, że już na dwa tysiące lat przed Narodzeniem Chrystusa w Egipcie znano nietylko sposób wyrabiania szkła, lecz, że nawet ten rodzaj przemysłu stał tam wówczas na wysokim stopniu doskonałości. Oprócz tego znaleziono rozmaite wazy, kubki i półmiski, o których znawcy orzekli, że pochodzą z tych samych czasów, co owa główka.

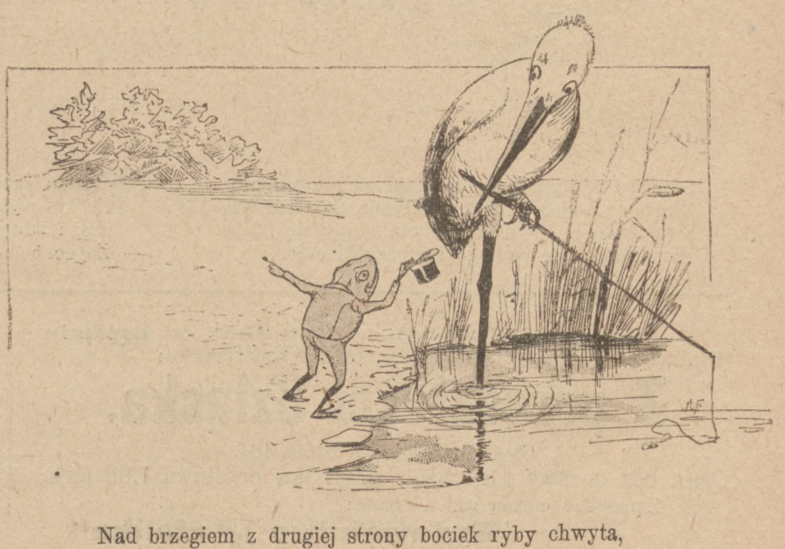
Dopóki tych wynalazków nie zrobiono, twierdzono ogólnie, że Fenicyanie wynaleźli szkło. Tymczasem Fenicyanie był to naród kupiecki, który szkło Egipcyanom odkupywał i następnie sprzedawał.

* **Zkąd się moda wzięła?** Na to pytanie odpowiedział pewien sławny krawiec damski w Paryżu: »Mody właściwie nikt nie robi; wszyscy jedynie postępują za nią. Jakiś zbieg okoliczności ją stworzy, wszyscy idą za nią, a nikt nie potrafi powiedzieć, zkąd się wzięła.« Są jednak przykłady, że zdołano stwierdzić powstanie mody damskiej. I tak: »Dzisiejsza królowa angielska skaleczyła sobie krótko przed wstąpieniem na tron nogę przy wysiadaniu z powozu. Noga musiała zostać obandażowana, ale bandaże pod krótkiemi spodnicami można było widzieć. W następnym dniu było w pałacu uroczyste przyjmowanie osób. Jakże tu dostojnikom pokazywać chorą nogę? Królowa zaradza złemu w ten sposób, że każe sobie uszyć długą suknię. Uczyniła to z konieczności, ale ta konieczność sprowadziła modę. Najprzód panie dworskie, za niemi świat dostojny a w końcu cały świat kobiecy począł nosić długie suknie. Drugi wypadek: Śpiewaczka pewna odkupiła pewnej biednej kobiecie kilka metrów żółtej materyi. Z takowej kazała sobie uszyć suknią i wystąpiła w niej na pewnem przedstawieniu. Nie trwało długo a cały elegancki świat kobiecy w Paryżu nosił suknie kroju sukni owej śpiewaczki. To są oto dwa drobne przykłady w odpowiedzi na pytanie, zkąd moda się bierze. Jakże tu mężowie mają jej zaradzić?

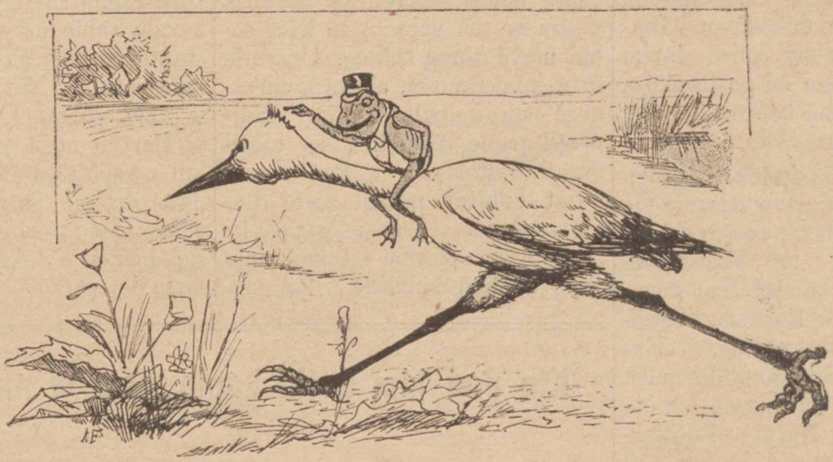
Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.



Parka żabeczek serdecznie się miłuje.
Złowrogo żaba modniś im się przypatruje.
Poznać można po niej, iż ma plan jakiś w głowie.
Cóż zaś takiego, to się poniżej opowie.



Nad brzegiem z drugiej strony bociek ryby chwyta,
Zbliża się podły zdrajca, uniżenie wita:
„Wielmożny bocianie,“ — słodziutko powiada,
„Szkoda ryb łowić, tam gratka nielada.“



Bociek z lubością słucha, zdrajcę na grzbiet bierze,
I bieżąc chyżym krokiem, zdąża ku ofierze.
Zdrajca palcem wskazuje: tam ot się znajdują
Gdy tymczasem biedacy nic nie przewidują.



Straszna zdrajcy zemsta. Żabki z przerażenia
Widząc bliski swój koniec, żądają pomszczenia
Swej śmierci. Bociek nad nimi niby się lituje
Pomścić zdradę podłego im przyobiecuje.



Bocian żabki połknął. Lecz przysłowie powiada
Że kto pod kim dołki kopie, sam w nie zwykle wpada.
Tak i zdrajca nikczemny tę wdzięczność uzyskał
Że go bociek wraz z drugimi na tamten świat wysłał.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu.